Ner 20. Kraków, 20go Maja. 1862.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować i adresować do Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

PRZYJAŹŃ.

Umiej być przyjacielem, znajdziesz przyjaciela.
K. Brodziński.

Związek duchowy, serdeczny, związek na podstawie uczucia i rozumu oparty nazywa się przyjaźnią. Kto taki związek zawrzeć z drugim zdoła, można o nim rzec, iż duchem wzniósł się nad ziemię, a sercem prawdę i cnotę ukochał. Przyjaźń jest najmoralniejszym interesem duszy i serca. Zawiązuje się między ludźmi, których się stała potrzebą, więc dla tego interesem ją zwiemy. Rzecz prosta, że w tem wyrażeniu interes materyalny najmniejszego niema znaczenia. Wiadomą bowiem jest rzeczą, iż stosunki na liczbach i widokach materyalnego zysku oparte, nie przyjaźnią, ale spekulacyą nazwać się godzi. Przyjaźń zawsze jest korzyścią i zyskiem, ale korzyścią i zyskiem duchowym. W przyjaźni tak pojętej, jest kilka ważnych momentów, których tu dotknąć wypada. Pierwszym jest wzajemność uczuć. Choćbyś najwyższym był na duchu, najbogatszy w uczucia, nie powinieneś nigdy narzucać swojej woli temu, który choć cię szanuje, choć ceni, choć nawet kocha— nie uczuł potrzeby, ani nie miał własnej woli wejść z tobą w stosunek przyjaźni. Skargi na brak przyjaźni u ludzi, jeremiady sentymentalnych poetków, złorzeczących światu i ludziom, że w nich nie ma prawdziwych przyjaciół, pochodzą najczęściej ztąd, że w zawiązanej urojeniem i fantazyą przyjaźni, nie było tej obopólności wzajemnej, i tej jednoczesnej wymiany uczuć, która jest koniecznym warunkiem tego moralnego związku osób ze sobą. Jako uczucie miłości ku dziewicy dotąd nie jest prawdziwą i trwałą miłością, dopóki go wzajemność nie zatwierdzi, tak przyjaźń nie może być niczem innem, jak tylko mrzonką fantastyczną dotąd, dopóki oddźwięku woli i uczucia nie znajdzie w drugiej duszy.

Na takiej dopiero zasadzie powstała przyjaźń ma konieczne warunki swej przyszłości: w prawdzie, w sumieniu i poświęceniu. Drugim więc momentem przyjaźni jest prawda. Moment ten polega na szczerem i wzajemnem poznawaniu duszy i serca. Znajomość siebie samego, jest największą sztuką życia. Przyjaźń ma ułatwić tę sztukę, ma ją udoskonalić dla ciebie. O ile sam siebie nie poznajesz, o tyle twój przyjaciel dopomoże ci do tego, abyś przez to największego *sfinxa* w życiu rozwiązał, abyś za pomocą przyjaźni poznał siebie. Tu widocznem jest szczytne przeznaczenie przyjaźni. Moment ten jednak najczęściej źle rozumiany, nie jest łatwym. On rozbijają się częstokroć z innych względów już ustalone stosunki przyjacielskie. Wrodzona słabość człowiecza do miłości własnej, do wiary w siebie i w swoje ideały, jest największą tamą dla tego warunku przyjaźni, a więc też i dla przyjaźni samej.

Im kto większą uczuł potrzebę wejścia w związek przyjacielski z drugim, tem więcej starać się będzie o pozbycie się tych słabostek, które jej stoją na przeszkodzie. Chcący mieć przyjaciela musi się (o ile to być może) wyprzeć miłości własnej, musi polegać na zdaniu przyjaciela, uwierzyć więcej w niego niż w siebie, i musi polegać na jego radach i zdaniach bardziej, aniżeli na swojem *widzimisiu.*

Tu pokazuje się także, iż przyjaźń jest środkiem do udoskonalenia duchowego i moralnego, i że nietylko na uczuciu ale i na rozumie polegać winna. Prawdę, ten niezbędny warunek przyjaźni, rozumem i sercem pojąć tylko można. Excentryczność jedna lub druga nie wykrywa nigdy rzeczywistości, bo tak jednostronność rozumu, jako też jednostronność uczucia, nie rozstrzygnęła jeszcze nigdy prawdy i istoty ludzi i ich życia. Przyjaciele winni być przeto zwolennikami prawdy, i najszczerszemi jej, w obec siebie, wyznawcami.

W momencie tym atoli jest pewna granica, po za którą sięgać nie wolno. Granicę tę wykonywaniu obowiązków przyjaźni stawia trzeci jej istnienia warunek: *sumienie.* Posłuch dany przez człowieka tej najwyższej władzy jego duszy i serca, temu najpotężniejszemu prawu nad jego wolną wolą czuwającemu, usposabia przyjaciół do wzajemnej w postępowaniu oględności i pobłażania, które jednakże li tylko na zasadzie dwóch pierwszych warunków zrodzić się może, to jest na zasadzie wzajemności i prawdy. Miej sumienie nad twym przyjacielem— jeśli sądzisz, że zbytnia twoja szczerość, i zbytnia surowość w przedstawianiu mu prawdy, nie tylko go nie naprawi, ale wzajemności pozbawi go ku tobie, i w bezdroże zwątpienia zapędzi właśnie przez to, że nie mógł odpowiedzieć wymaganiom twego zamiłowania prawdy. Miej sumienie nad nim i nad sobą, jeśli chcesz utrzymać z nim przyjaźń, jeśli rzeczywistą czujesz jej potrzebę. Na tych trzech warunkach ugruntowany stosunek jeszcze nie będzie doskonałą przyjaźnią, jeśli nie usposobi serc łączących się ze sobą do uczucia, będącego nagrodą i zyskiem moralnym tego interesu, będącego wieńcem przyjaźni — a zowiącego się poświęceniem.

Ja za ciebie, a za mnie — ty. To jest hasło najświętsze przyjaźni, to jest rękojmia jej trwałości, to jest jej przyszłość. Do jakiego stopnia wznieść się to poświęcenie zdoła, wiadomo powszechnie. Za przykład przypominam tu balladę Szyllera pod tytułem: *Die Bürgschaft.* Wierzący w słowo przyjaciela i w jego uczciwość, podejmuje sam dać głowę na pień, jeśliby tamten nie dotrzymał przyrzeczenia. Taka wiara pochodzi tylko z biernego, że tak powiem uczucia przyjaźni, bo z przekonania i ze znajomości serca. Jest jednak inne

poświęcenie, które mianowicie w razach upadku człowieka, wyżej jeszcze stosunek przyjaźni podnosi: Przeniosę na sobie i śmierć raczej, aniżelibym miał się zniżyć do znieważenia przyjaźni.

Bajka — aby takiej przyjaźni nie było na ziemi. Kto trzy pierwsze warunki przyjaźni dochował, ten się poświęci całem życiem dla swego przyjaciela. Taka jest zdaniem naszem teorya przyjaźni. O tym jednak przedmiocie można pisać tomy rozpraw in folio.

⊙

TYPY NIEWIEŚCIE,

albo

KOBIETA,

przez

GABRYELĘ Z GÜNTHERÓW PUZYNINĘ,

Autorkę dzieła: W Imie Boże.

(Zob. Nr 16, 17 i 18).

TRZY ŻONY.

I.

„A iż cię nie opuszczę aż do śmierci!"
(Słowa ślubnej przysięgi).

Księżna Anastazya ...off była uważana za najszczęśliwszą istotę w bawiącym się świecie. Jeszcze młoda, bardzo bogata i niezależna (podobno wdowa), używała swojej wolności swobodnie, nie gorszące nikogo, ale też i nie bardzo budując. Nie była samotną, miała dwie córki młodziutkie, które nigdy jej nie odstępowały, z któremi odbywała podróże w Europie, i dla których wychowania (podobno) siedziała w Paryżu. Tam coraz to nowa zabawa! Księżna Anastazya ze skwapliwością i niestałością popsutego dziecka, rzucała się od jednej do drugiej rozrywki, od balu do szpitala, od baletu do prelekcyi, od magnetyzmu do gimnastyki, z kościoła do bal-mabille, od maryonetek do galeryi muzeum, z barykadów szła na kazanie. Wczoraj odbyła przedstawienie etykietalne u dworu, jutro ze świtem jechała na rynek kupować sama kwiaty u przekupek itp. itp. Przyjmowała u siebie i bywała u drugich — a zawsze dobra, łatwa, wesoła, uczynna, nie odmawiająca sobie żadnego zbytku, ani też drugim pomocy — żyła śród ciągłego fajerwerku.

Znawcy serc ludzkich i czytający z najmniej zrozumiałych czynności jak z hieroglifów, domyślali się pod tą powłoką różową, bardzo czarnej tęsknoty... — Pani Anastazya (mówili oni), musi mieć jakąś głęboką i jeszcze świeżą ranę w sercu, kiedy ją tak starannie kwiatami stroi, i nie daje sobie chwili wypoczynku, aby tylko swój ból przygłuszyć!?

Po części może zgadli. Ta kobieta tak szalenie wesoła śród ludzi, potrzebowała czasem się wypłakać! Ale duch niepokoju nie dawał tym łzom płynąć w samotności, wyganiał ją z domu. Ks. Anastazya szukała towarzyszki, brała pierwszą lepszą i jechały na smętarz *Père la Chaise*, a nakupiwszy u bramy tyle wianków ile ich nabrać było można na obie ręce, szły żałosne szukać sympatycznych grobowców, autorów ulubionych, piękności sławnych, bohaterów miłości lub sławy, spółziomków zmarłych na obcej ziemi... Tu i tam rzucały wieńce i łzy, a przekonawszy się, że nic stałego na tej ziemi niema, że wszystko ma swój koniec — jakoś lżej im było na sercu, i rzecz naturalna (czegóż się temu dziwić?...) gdy nadszedł wieczór, pani Anastazya już zupełnie uspokojona, jechała na bal!...

II.

Jesteśmy w Litwie — w komnacie niewielkiej, której okna wychodzą na ogród pochyły ku Wilence, i cudny widok na Popłowy i Balmont; — na wysokiem krześle siedzi niewiasta, którą z postawy wyprostowanej, surowej i spokojnej, wziąść można za typ dawnych Polek. Młoda jeszcze ale nie piękna, z wyrazem twarzy smutnym ale stanowczym. Uczy właśnie w tej chwili małe swe dziatki z dużej biblii, której obrazki im tłumaczy, najstaranniej wybierając przykłady miłości synowskiej, uszanowania dla rodziców itd. itd. Zatrzymuje się pod namiotem Abrahama, gdzie miłość i zgoda małżeńska zasłużyły na odwiedziny aniołów.

Na wspomnienie Abrahama, Karolek pyta: Gdzie tata? mała Adelcia dodaje z minką tajemną, że już dwa miesiące jak wyjechał, i nie wraca... Oblicze matki powlekło się jakby mgłą, w oku zabłysło coś nakształt łzy, z piersi wyszło jakby westchnienie. Ale po chwili głosem pewnym i wesołym, odpowiada dzieciom: że tato pojechał za interesami, ale pisze, że ich zawsze kocha, że o nich pamięta, że wkrótce powróci — a tatę trzeba kochać, słuchać go i szanować, aby miał pociechę ze swych dzieci itp. itp.

III.

— „Mamo! dla kogo ta żałoba? Wszak dzięki Bogu babunia zdrowa, a tato jutro przyjeżdża?" Mówiły trzy dzieweczki do pani Malwiny, kupującej czarne wstążki i tyftyki. A smutny wyraz twarzy matki, jeszcze młodej i pięknej, również jak kiry które ją otaczały, odbijały ponuro od twarzyczek tych trzech dziewczynek, świeżych jak róże, a może jeszcze więcej od wyrazu radości rozlanej po tych jagodach różanych na wiadomość, że tata przyjeżdża, i że wracają na wieś po dwu-letniej niebytności w domu, po nudnych dniach spędzanych nad lekcyami śród murów itd. itd.

Na te wesołe ich okrzyki, sposępniała jeszcze bardziej twarz, już i tak smutna pani Malwiny, odprawiła dzieci do nauczycielki, i kończyła targ z kupcem.

Nazajutrz pani Malwina była u spowiedzi, ale ten sakrament dający zwykle tyle szczęścia, podwoił jej wewnętrzny smutek. Wróciła z kościoła czegoś bardzo niespokojna, całe poobiedzie była za domem, i ledwie nad wieczorem dzieci ujrzały ją wracającą z pakunkami, które zaraz zaczęła rozwijać. Było tam wiele cacek i ładnych drobnostek, które się zwykle na dnie imienin przyjaciołom ofiarują, a najwięcej krzyżów i medalionów ze świętemi wyobrażeniami.

Przez całą noc nie zgasło światło w pokoju pani Malwiny, nie kładła się ona, pisała do dnia białego, nareszcie wszystko ucichło .. A gdy zwyczajna godzina obudzenia nadeszła, i dzwonka pani, ani zwykłego klaśnięcia w ręce słychać nie było, weszły niespokojne córki do pokoju matki, i znalazły ją... martwą — pani Malwina nie żyła!

Szklanka z niedopitą wodą, w której się bielił jakiś proszek świecący, stała przy łóżku... pióro rzucone na kilka ćwiartek drżącą zapisanych ręką, i sama pani Malwina leżąca jak posąg marmurowy, z wyrazem dzikiej determinacyi na zastygłej twarzy, świadczyły o gwałtownej, ale dobrowolnej śmierci. — Ta kobieta się otruła!...

Boleść dzieci, przerażenie sług, przeszły w okamgnieniu z domu na ulicę, i niemal w godzinę całe prawie miasto wiedziało o okropnej katastrofie.

Przyjaciele, których miała nie małą liczbę pani Malwina, zbiegli się do jej domu. Cacka i inne rzeczy kupowane w wigilią, miały wszystkie karteczki z imionami znajomych i przyjaciół. Umierająca o nikim nie zapomniała.

Żałoba była dla dzieci.

Pismo zaś zakończone drżącą ręką konającej, zawierało symptomata okropnej śmierci, i objawiało też powód samobójstwa.

A teraz spytacie nas czytelnicy, co znaczy ten dobór tak sprzeczny trzech tak odmiennych niewiast? Co one znaczą obok siebie? Jedna pusta jak karnawał — druga poważna jak religia — trzecia okropna jak zwątpienie i rozpacz!

Te trzy kobiety miały jednaką boleść w sercu, wszystkie trzy były zdradzone przez męża, ale każda z nich inaczej swą boleść pojęła.

Jedna chciała zapomnieć—druga chciała przebaczyć— trzecia nie umiała cierpieć ani przebaczyć.

— Pani Anastazya miała siebie za kwiatek... a widząc w małżonku swoim niestałego motylka, zwątpiwszy aby wrócił, chciała i sama korzystać z życia. — Było już na jej krzaczku kilka pączków, dała im rozkwitać na słońcu, aby i one cieszyły się światem.... Gdy jej skwar dopiekał tęskniła za rosą, pragnęła nieraz nawałnicy, drżała słysząc gromy, a gdy burza minęła i słońce znów zaświeciło, rada z tego, żyła znowu po dawnemu, jakby innego życia nie było!

I tak samo żyje dotąd jeszcze, choć już młodość jej dawno przekwitła. W ciągłych podróżach bez celu, jak jej samo życie, pani Anastazya nie ujrzy już pewno wracającego szczęścia do gniazda, od którego sama odbiegła!

— Pani Malwina miała siebie za ofiarę. Wydana za mąż bardzo młodo, i z wyboru matki, za człowieka dobrze starszego i mniej ukształconego od niej, miała w sumieniu i w zasadach swoich dość mocy, aby się mieć za szczęśliwą, póki szacować mogła swego małżonka, i dom ich był obrazem pokoju i ładu. Ale gdy przez nieostrożność i wielomówstwo sąsiadki, odkryła, że ten mąż, sumieniem tylko kochany, jej nie kocha, bo ją zdradza, obrażona i jakby upoważniona do zerwania wszelkich stosunków, porzuciła dom mężowski, zabierając dzieci i przenosząc się do miasta.

Tam karmiąc się zgubną literaturą, utwierdziła się mocniej jeszcze w przekonaniu, że podłością byłoby wracać pod dach męża, nie mając dla niego ani miłości, ani szacunku — zapomniała o przysiędze ślubnej nie podlegającej żadnym wyjątkom, zapomniała nareście o dzieciach, ach i o Bogu nawet, kończąc życie samobójstwem!

— Pani Salomea zaś (owa matrona litewska), miała siebie za chrześciankę, która przysięgła na wierność, bez względu na własne szczęście. Straciwszy w pierwszych latach pożycia miłość małżonka, którego nowe wabiły kwiaty, pani Salomea pożegnała szczęście, jako żona, ale się go nie wyrzekła jako matka. Czy wróci do niej niewierny małżonek? nie śmiała pytać o to Boga, ale tak żyła i tak wychowywała dzieci, aby ojciec ich wracając do gniazda, zapragnął w niem pozostać...

Nadzieje tej zacnej niewiasty sprawdziły się. Po kilku latach próby wrócił nie tylko ojciec ale i mąż. Władza przysięgi ma wielką moc, której żaden urok świata zwalczyć nie może, choć na czas jakiś przeważy — płomień ogniska domowego trwalej i jaśniej świeci od błędnych ogników świata, a piosnka i modlitwa słyszane u kolebki, przetrwają i przygłuszą najpiękniejsze chóry teatralne...

Pan Janusz wrócony pod dach własny jak syn marnotrawny, i również czule przyjęty od małżonki i dziatek, jak tamten od ojca i matki, zdziwił się i zawstydził na widok niewzruszonych ścian domowych, które znalazł również czyste, ciepłe i jasne jak dawniej, a tak różnem tchnące życiem od pustek i chłodu jego własnego serca! Zacna małżonka siedząca u progu domostwa jakby na straży cnót i szczęścia domowego, oddała skarb nietknięty małżonkowi — płomień w ognisku nie zgasł na chwilę... Nić przędzy zerwaną na krótko, związała prędko i nieznacznie delikatna ręka, i kądziel przędła się na nowo. A choć pomiędzy złote i jedwabne nitki wplątały się czarne i żałobne, nie przerwała swej pracy nieustraszona prządka, zawsze na jednem miejscu, już z wnukiem u kolan, snuła z księgi świętej i z własnego życia przykłady budujące młode pokolenie. Dwa razy jej mąż odjechał daleko, dwóch synów zabrało wygnanie, dwóch grób pochłonął. Ona pozostała jak skała wdrożona do boleści, ufna w Bogu, odtrącająca próżne pociechy światowej życzliwości. Zawsze prosta duszą, umysłem i ciałem, zawsze surowa, ostra i sucha na pozór, zawsze w czerni i we włosach do późnej starości; najczęściej w tej komnacie, której okna na cudną wychodziły okolicę, doczekała tak i powrotu małżonka, i uwolnienia synów, a syta lat, boleści, radości i zasług, nie zgięta wiekiem ani cierpieniem, otoczona dziećmi i wnukami, zgasła w Bogu, we dwa lata po śmierci swego męża.

Wiecznie odpocznienie racz dać jej Panie!

* * *

Z tych przykładów trzech niewiast tak różnie postępujących widzimy, że każda kobieta, chociaż inaczej znosi niewierność męża, wszystkie jednakowo czują miłość i żal. Na sumienie więc panów małżonków spadają te łzy, ta śmierć, i to życie przetrwonione bez śladu.

JADWIGA,

KRÓLOWA POLSKA.

(Ciąg dalszy).

VII.

Będąc już zupełnie zdecydowaną do oddania swej ręki Jagielle, chciała się przecież „cudownie piękna swem poświęceniem“ Jadwiga przekonać, czy prawdą były gadaniny zauszników jej o szpetności pogańskiego księcia. Jagiełło jechał już do Krakowa. Posłowie polscy wyruszyli już na jego przywitanie, a Jadwiga wysłała pomiędzy niemi Zawiszę Oleśnickiego, umyślnie „na przypatrzenie się Jagiełłowej osobie, i na wyrozumienie obyczajów jego, pod pokrywką pytania się o zdrowie.“ Krok ten naturze kobiet odpowiedni i właściwy, z łatwością przebaczamy Jadwidze, która umiejąc być wyższą od wielu królów i królowych, nie umiała być wyższą od kobiety. Ten tedy Zawisza Oleśnicki „odnosi“ jej wiadomość, że Jagiełło przyjemniejszej jest urody, aniżeli Jadwiga rozumiała. W rzeczy bowiem samej, wedle historycznych śladów taki by był portret Jagiełły:

„Postaci nie brakło siły i wdzięku. Na krzepkiem ciele miernego wzrostu, odznaczającem się niepowszednią kształtnością, siedziała głowa mała, powzdłużna, o ściągłych rysach twarzy, zwłaszcza ku podbródkowi kończasto ściętej. Długa szyja, smagłe jagody, wysoko z włosów obnażone czoło, dodawały powzdłużności obliczu. Oświecały je niewielkie czarne oczy, niezmiernie niespokojne i ruchliwe. Z ust ocienionych długim, lecz cienkim wąsem, wylatywały słowa szybkie, grubym rzucane głosem. Ta szorstkość głosu, porywczość mowy, niestałość wzroku, znamionowały naturę żywą, która w innem położeniu, mogła była snadnie skrnąbrnieć i zdziczeć. Wszelako przyświecające Jagielle zewsząd uśmiechy szczęścia i ludzi, długoletnie pieszczoty matki, która tak powszechnie wiadomy wpływ (chrześciańskiej nauki) wywarła na charakter swojego syna, zleniwiły, ugłaskały wrodzoną rzutność i cierpkość.“

Wszystko to baczny poseł musiał dostrzedz w Jagielle, i nie małą pociechą dla Jadwigi była jego sumienna relacya, tem ważniejsza, że interes i obłudę jej najlepszych powierników i przyjaciół wykrywająca. Poznała bowiem Jadwiga, iż nieprzyjaciele Jagiełły z rozmysłu tylko tak go niekorzystnie jej przedstawiali, poznała w tem ich brudne osobiste widoki, i tem łatwiej ku ich przeciwników stronie się skłoniła.

Wysłani natychmiast senatorowie „między którymi najprzedniejszy był Spytek Melsztyński“, zjechali się z Jagiełłą 12go stycznia 1386 w Wołkowysku, a Włodko z Ogrodzieńca, Piotr Szafraniec, Mikołaj z Ossolina i Krystyn z Ostrowa wręczyli mu akt uroczysty, uwierzytelniony przez Władysława Opolczyka, wzywający go na królestwo polskie i na męża Jadwigi.

„Wjechał tedy do Krakowa Jagiełło 12 lutego 1386, a po śmierci Ludwikowej czwartego, mając w towarzystwie z sobą wielką liczbę książąt i senatorów litewskich, także ruskich, więc też Borysa i Świdrygiełła bracię rodzoną, a Witołda stryjecznego [1]).

„Odkąd Kraków Krakowem nie pamiętano tak wielkiej, tak pełnej następstw uroczystości. Panowie dostojnicy koronni wiodą swego elekta śród wrzawy trąb i odgłosów ludu na zamek, do pokojów królewskich, przed oblicze „przejednanej“ Jadwigi. „Młodociana piękność w koronie, otoczona licznem gronem panien i niewiast przyjmuje pokłon Jagiełły.“ Zdumiał się wielki książę litewski widokiem niezrównanych wdzięków „oblubienicy koronnej“ — a przekonywująca się naocznie o prawdzie słów Zawiszy Jadwiga, uczuła w sercu swem miłe zbliżenie się, do kochającego ją od tej chwili Jagiełły. Nazajutrz doręczono jej bogate dary oblubieńcze. Były to „drogocenne upominki w złocie, srebrze, drogich kamieniach i tkaninach krojów dalekich.“ Jagiełłę tymczasem przygotowywało duchowieństwo do świętego obrządku chrztu, który niezadługo po przybyciu jego miał nastąpić. Najnowsze bowiem badania, a mianowicie głębokie badania K. Szajnochy, najjawniej dowodzą, że Jagiełło, choć miał matkę chrześciankę, choć o greckiej wierze miał niejakie wyobrażenie, był jednakże „poganinem“ aż do tej chwili, w której stanął przed tronem pięknej i wielkiej Jadwigi, osobiście błagając ją o rękę, i obietnic swoich uczynionych przedtem dopełniając.

„A tak dnia 14 lutego [2]) wprowadził polski orszak duchowny pięciu wnuków Giedyminowych, z pałacu królów polskich na zamku krakowskim, ku pobliskiej temuż katedrze. Oprócz w. księcia Litwy przystępowali do chrztu trzej rodzeni bracia Jagiełły: Wigund, Korygieł i Świdrygieł, tudzież stryjeczny Witołd“ [1]). Uroczystości przewodniczył arcybiskup gnieźnieński Bożenta (Bodzanta) i biskup krakowski Jan. Każdy z nowochrzczeńców miał swych rodziców chrzestnych. Jagiełły ojcem miał być mistrz krzyżacki Czolner, ale „prośbie odmówił“, a matką była „jedna z pierwszych matron ówczesnej Polski, pani wojewodzina sędomirska Jadwiga, niegdyś małżonka bogacza Otty z Pilczy.“

Jagiełło otrzymał na chrzcie świętym imie Władysław, a jako król polski był przeto Władysławem II.

Obecna uroczystości chrztu świętego Jadwiga, widziała coraz więcej pokonanych i niknących przeszkód, zbliżenia się swego sercem i duszą ku nowoochrzczonemu księciu. Nie widząc w nim nic wcale odrażającego, owszem poznając szlachetność uczuć i chęci jego ku sobie, widząc nadto, iż dla jej ręki tak wielki czyn, Bogu najmilszy i narodowi drogi, z całą ochotą serca i gotowością dopełniał, skłaniała się coraz bardziej ku niemu, czując w duszy swej coraz więcej spokoju i szczęścia, natchnionego jej głęboką wiarą w Boga, wielką miłością dla powierzonego sobie narodu, i niezłomanem bynajmniej poświęceniem, dokonanem u stóp cudownego krzyża na Wawelu.

Następnie wyznaczono termin na dokonanie obrzędu religijnego, znoszącego „wedle formy“, co natenczas było koniecznie potrzebnem, wszelką ważność i znaczenie zaślubin hajmburskich.

Po tym obrzędzie nastąpił dopiero ślub, na który wyznaczono dzień 18go lutego, w niedzielę. W sercu Jadwigi przystępującej do ołtarza z Jagiełłą, zupełny już panował spokój. Poświęcenie zrobiło z tej przezacnej dziewicy najszczęśliwszą oblubienicę Boga i narodu. Ze łzami radości w oczach, z sercem bijącem rozkoszą i zadowoleniem, jakiego każdy po dokonaniu szlachetnego czynu doznaje, zbliżała się młoda i „najpiękniejsza z wszystkich spółczesnych monarchiń“ do ołtarza, aby połączyć się związkiem religijnym z Jagiełłą, połączeniem tem zyskując miliony serc nawróconych Bogu, a narodowi polskiemu szczęście, zgodę i chwałę gotując.

Do obszerniejszej rozprawy należy wykazanie tych wszystkich wielkich korzyści, jakie ślub Jagiełły z Jadwigą przyniósł dla Polski. Sprawy szlachetnego Władysława i czyny jego, dokonane zaraz po ślubie, należą właściwie do historyi całego narodu, i dla tego o nich w monografii Jadwigi tylko pobieżnie mówić nam wypada. Do tych zaś spraw należą przedewszystkiem liczne i korzystne przywileje, jakiemi Jagiełło wywdzięczył się narodowi polskiemu za to, że go tak „nieocenionym skarbem“ jakim była Jadwiga, obdarzył. Należy tu także cała nowa organizacya wewnętrznych stosunków kraju, do której Jagiełło zaraz po ślubie przystąpił. W czasie tych czynności gotowano się do koronacyi. Odbyła się ona wreszcie w dniu 4 marca. Do koronacyi tej użyto „nowej korony, albowiem starą, jakosz do Węgier zawiózł był Ludwik, także i do onego czasu, nazad jej było nieprzywieziono.“ Namaszczenie na króla wykonał arcybiskup Bodzanta w obecności ślicznej Jadwigi, śród mnogiej liczby panów i mieszczan.

Nazajutrz „do miasta w przepysznej ozdobie sprowadzony Władysław, przygotowany majestat w rynku zasiada: skąd Krakowian i inszych mieszczam, wiarę sobie przysięgających, podług zwyczaju słucha; litewscy

[1]) „Albowiem już go był przejednał i z Prus do Litwy przyzwał, puściwszy mu Grodno, Brzyście, Drohiczyn, Mielnik, Bilsko, Surasz, Kamieniec, Wołkowysko, warując sobie nad nim wiarę i posłuszeństwo.“ Kromer.

[2]) Pisze Kromer. W Szajnosze jest 15.

[1]) Szajnocha powiada, iż „wieści nie mylą, że Witold teraz już po raz trzeci chrzest święty przyjmował na siebie.“

także i ruscy książęta, równie i z panny natenczas obecnymi, wiarę królowi i królowej poprzysięgali, a podpisawszy i zapieczętowawszy przywileje, pod władzą, wiarą i opieką ich, i wszystkiego królestwa polskiego, spólnie z majętnościami swemi, od czasu onego nigdy nie odmiennie trwać obstawali“ [1]). Po czem uroczyste wesele odbyło się na zamku, na którem: „zwodzono tańce, gry, gonitwy, i różne biesiady przez wiele dni strojono “

Dokończywszy porządnie przyjętych w Królestwie ceremonij, zajął się Jagiełło uspokojeniem rozruchów Wielkopolan, którzy zwyczajem swoim, i teraz jeszcze nowemu królowi posłuszeństwo wypowiadali. Niezłagodzone jeszcze waśnie Grzymalitów z Nałęczami, były głównym Jagielle powodem do zajęcia się uspokojeniem tej „odrodnej“ części Polski. Zajechał był więc Jagiełło do Wielkopolski z królową Jadwigą, i z gęstym zastępem orężnych Małopolan, i w Poznaniu wielkanocne święta odprawił. Przedsięwzięcie jego udało się zupełnie. Godność i szlachetność z jakiemi zabierał się do dzieła, a prócz tego, zachwycający powab dostojnej jego małżonki, były wielce skutecznym środkiem do pozyskania sobie i w tej części królestwa tych uczuć, jakiemi cały zresztą naród był dla króla i dla królowej natchniony. Przywiódł więc wkrótce poważnione domy Grzymalitów i Nałęczów do zgody i „pierwszej miłości“ i wiele porządków w wewnętrznym stanie prowincyi zaprowadził. „Dobra kościelne, przez kogokolwiek lub to mocą, lub fortelem jakim opanowane, własnym dzierżawcom przywrócił.“ Niesprawiedliwie na majątku pokrzywdzonych hojnie nagrodził, a krzywdzących i niesprawiedliwości się dopuszczających to dóbr zabraniem, to więzieniem pokarał. Zgoła zachowywał się Jagiełło jako pan dobry i sprawiedliwy, i z tego jego energicznego wystąpienia, mogła była już Polska dobrą cieszyć się nadzieją, i świetności swego monarchizmu, i spokoju swego społeczeństwa, i chwały całej ojczyzny swojej. Uspokoiwszy się w Poznaniu, zwrócił Jagiełło drogę swą na Gniezno. Z tej jego podróży przekazują nam dzieje piękny rys charakteru szlachetnej i miłosiernej Jadwigi. Stanąwszy w Gnieznie, domagał się Jagiełło zwyczajem starodawnym dostarczania dworowi żywności z dóbr kapituły tamecznej. Zimni i należnej czci nieoddający mu Wielkopolanie, a mianowicie „nierada gościom kapituła“, odmówili żądanej dostawy, powołując się na przywilej koszycki „znoszący stacye królewskie.“ Okolicznością tą oburzeni panowie świeccy poradzili królowi „pozajmować dobytek wsi nieposłusznych.“ Usłuchał król ich rady i rozkazał zabrać przemocą bydło. Przerażony tem proboszcz gnieźnieński i sufragan arcybiskupi Mikołaj Strosberg, Poznańczyk, zatrzymał po całem mieście obrzędy kościelne, i „zawiesiwszy tam wszelkie nabożeństwo, ustąpił z miasta.“

Okropne przerażenie ogarnęło umysły. Pobożna Jadwiga dowiedziawszy się o przyczynie gniewu księdza sufragana, wielce zasmuciła się krzywdą, biednym chłopkom wyrządzoną. Natychmiast też zaczęła nakłaniać męża, aby im wydarty dobytek powrócił. Jagiełło usłuchał od razu namowy Jadwigi, rad z poznania tak szlachetnego w jej sercu dla biednych współczucia.

Zabrany chłopkom dobytek natychmiast został zwrócony, a wtedy to Jadwiga wymówiła owe pamiętne, i dobrze jej piękną duszę malujące słowa, głęboką myślą i głębszem jeszcze nacechowane uczuciem. Gdy bowiem wielce wypadkiem tym zasmuconą i niedającą się niczem pocieszyć, o zwrocie dobytków biednym uwiadomiono, królowa westchnąwszy, rzekła: *„Jużci dobytek chłopom pokrzywdzonym jeszcze przywrócić możemy, ale łzy skwierku ich przeraźliwego, kto wżdy dostatecznie ukoi? kto im powróci te łzy?*

Całe lato i jesień strawił Władysław Jagiełło na godzeniu „spraw wielkopolskich, rostyrkami szkaradnie potrwożonych“, a dokonawszy szczęśliwie zamierzonego dzieła, powrócił do Krakowa.

(C. d. n.)

[1]) Kromer.

ŚLUB.

(Ballada studencka).

W maryackim poważnym kościele
Ślubna para przed ołtarzem klęczy;
W koło strojnych, szumnych gości wiele.

Pannę młodą wianek z mirtu wieńczy:
Ona w ziemię patrzy się modląca —
Śliczne lica blaskiem myśli płoną,
Białe ciałko pod białą zasłoną
Drży, jak puchy, gdy o nie wiatr trąca.

Niedziwota, że panna tak trwożna,
Że tak płonie, a taka nabożna,
Bo dopiero pierwszy raz się zdarza,
Że do ślubu klęka u ołtarza.

Lecz pan młody niebył w tym zapale,
On łańcuszkiem bawił się niedbale,
I był sobie z taką miną prawie,
Jakby w domu i przy czarnej kawie;
Wąsik muskał, i patrzał się drwiąco
Na dwie drużki, co obok klęczały,
I zapewne o mężach myślały,
Bo wzdychały serdecznie, gorąco.
I uśmiechał się złośliwie, skrycie.
I wyglądał jako młody byczek
Na podworcu wśród gęsi, indyczek.
Tak czekano na księdza przybycie.

Lecz za gośćmi onemi, na boku
Jakiś młodzian stał, z rozpaczą w oku,
Rozczochranym włosem, bladej twarzy,
Patrzał dziko ku stopniom ołtarzy,
A pod pachą, pod płaszcza fałdami,
Coś namiętnie przyciskał rękami, —
Błysło... Boże! może błysk sztyleta?...
Nie — były to książki i kajeta.

Bo wam muszę rzecz wyłożyć jaśnie,
Że młodzieniec szedł do szkoły właśnie,
I przeczuciem, czy trafem zagnany,
Wszedł i trafił na ślub swej kochanej.

O miłości tej opowiem wiernie:
Panicz ciotkę miał, ciotunia głucha

Ale dobra, serdeczna starucha,
I kuzynka kochała niezmiernie;
Więc kuzynek korzystał z dobroci,
I co lato przyjeżdżał do cioci.
I zdarzyło się w tę porę samą,
Że ta panna, co dziś u ołtarza
Tak nieśmiało przysięgi powtarza,
Przyjechała tam także z swą mamą;
Ale wtedy młodszą była wiele.

Panicz patrzał na pannę nieśmiele,
I panienka na niego ukradkiem,
Aże się raz spotkali przypadkiem
Przy malinach... i rumiani cali,
Długo, długo... ze sobą gadali.

Odtąd panicz ciągle był przy pannie,
To jej książki czytywał w altannie,
To ją woził na łódce po wodzie,
To z nią kwiatki podlewał w ogrodzie.
A panienka młoda jemu za to
Słówka, oczka rzucała zapłatą,
To siadała znów przy fortepianie,
Dumki grała — a on patrzał na nię,
Jakby ją chciał zjeść oczyma swemi,
A robiło mu się niebo z ziemi.

Ale stało się raz w piękne rano
Że panicza do szkół odesłano,
I z panienką wyjechała matka,
I tak koniec był temu kochaniu.

Potem panna rosła, rosła w latka,
Aż się stała panną na wydaniu,
I starał się o nią jeden młody,
Co miał rozum, bródkę i dochody,
To chybaby głupią panną była,
Żeby takiem szczęściem pogardziła.

Ale panicz nie zmędrzał tak skoro
Jak panienka, i w szkole, i w domu
Wciąż za panną wzdychał pokryjomu,
I pisywał o niej wierszy sporo.
I dziś patrzcie: blady, łzy ma w oku, —
Tak rozpacznym był przed dwoma laty,
Kiedy wracał po skończonym roku
Bez promocyi do groźnego taty.

Ślub się skończył, zagrały organy,
Zaszumiały i szepty i stroje,
Wyszli goście i małżonków dwoje —
I już panicz pozbył się kochanej,
Już jej może więcej nie zobaczy.

Odjechały pojazdy z turkotem,
Panicz westchnął rozpacznie, a potem
Już do szkoły nie poszedł z rozpaczy,
Tylko poszedł nad Wisły strumienie,
A złe myśli szły za nim jak cienie.

A na drugi dzień młodzieńca ciało
Znaleziono rankiem, jak leżało...
Snem ujęte na miękkiej pościeli;
Chciał się wprawdzie wczoraj do topieli
Rzucić, skończyć nędzny żywot, ale
Na nieszczęście... pływał doskonale;
Więc ten zamiar wybił sobie z głowy,
Jeno cały dzień się w polach włóczył,
Sam ze sobą dzikie wiodąc mowy,
Aż gdy mu już dobrze głód dokuczył,
Późną nocą do domu powrócił,
Zjadł wieczerzę i w łóżko się rzucił.

O! nie budźcie mi, proszę, młodziana,
Niech spi! choćby do drugiego rana;
Wszak powiedział jeden śpiewak w pieśni:
Tyle tylko szczęścia, co człek prześni.

M. B.

Dzisiejsze próby serca.

(Prawdziwe zdarzenie).

W jednym z większych miast — na jednej z większych ulic, w jednej większej od innych kamienicy, w jednym z większych od innych salonów, było liczne i strojne niezwyczajnie zgromadzenie. Było pań ze sześć, mężczyzn z ośmiu. Pomiędzy temi wszystkiemi odznaczała się jedna z pań starszych, dziwnym wdziękiem na bladej twarzy; a z panów zaś starszych siwy mąż w czarnej czamarce, z wstążeczką legii honorowej w pętlicy; z młodzieży nareszcie 18 letnia śliczna blondynka w białej sukience, z wiązanką fiołków u piersi, i młodzieniec 25letni, również blondyn pociągłego lica. Dla tego tych dwoje państwa młodych odznaczamy, iż rzeczywiście mieli zostać nowożeńcami, a akt uroczysty zaręczyn właśnie się co odbywał.

Owa starsza pani i ów siwy mąż, byli to państwo Z. bogaci właściciele dóbr, żyjący jednak zwykle w mieście; owa blondynka była to ich córka, Kazimiera, a ów młodzieniec, bliski kuzynek i narzeczony panny Kazimiery; reszta osób była najbliższą familią. Po formalnie dopełnionych zrękowinach, usiadły ciotki, babcie obok siebie, i jedne ze łzami, drugie z uśmiechem wróżyły szczęśliwą, pełną róż przyszłość swoim krewniakom. Ojciec chodził poważnie między mężkimi gośćmi, i półgłosem rozpowiadał przymioty Czesława, (narzeczonego Kazimiery), jego zdolności, nauki, ukształcenie i stan fortuny; — państwo zaś młodzi siedzieli obok okna i cichą najsamprzód rozpoczęli rozmowę. Dobrana to była na oko para, on przystojny całem rozwinięciem mężkiej piękności i siły — ona smukła, regularnych rysów i dziewiczej świeżości. Znali się oboje od dawna, bo jako dość blizcy krewni, chowali się razem od dzieciństwa; a że zwykle tak bywa że kobiety zawsze prędzej odgadną czy poznają charakter mężczyzny, więc i Kazimiera lepiej znała Czesława, aniżeli on

ją. On wiedział tylko tyle, że jest nadzwyczaj łagodną, dobrą, bardzo ukształconą umysłowo, ładną, nie przypuszczając nawet iżby mogło być inaczej, gdyż dotąd mało znał kobiet innego rodzaju — i wiedział że go kocha, nieprzypuszczając również żeby mogło być inaczej. A że do tego dawno z wolą stryja jego i jej rodziców zgadzało się doczesne ich połączenie, więc z całym spokojem duszy niczem niezamąconej, żadnych walk i ofiar nieprzechodzącej, patrzał w przyszłość. Stan tego spokoju biernego rozlewa się zwykle spokojem i wesołością na zewnątrz, lecz nie pozwala dosyć ocenić szczęścia jakiego się obecnie doznaje, lub doznać ma. Dla tego Czesław usiadł obok pięknej kuzynki, jakby dalszą prowadząc rozmowę, i powolnym tonem w te się odezwał słowa:

— Tak więc kuzynko, jesteśmy szczęśliwi!

Kuzynka nic nie odrzekła, Czesław mówił dalej:

— Jakżeby to dobrze na tej ziemi było, gdyby wszystkim tak łatwo Bóg użyczył szczęścia, gdyby wszyscy mogli bez przeszkód połączyć się na wieki, kochając się tak jak my! Lecz my mamy tę zasługę, że nie wpadamy w żadne gwałtowne wybuchy czy objawy miłości, lecz stąpamy pewną nogą po tej drodze, dla innych tak pełnej zawodów, niepowodzeń!...

— Masz racyą kuzynku, i dla tego sama niewiem dla czego obawiam się mego szczęścia, bo zdaje mi się że dopiąwszy celu dopiero po jakichkolwiek ofiarach i boleściach, czuje się je prawdziwie, i umie się go użyć.

—Więc możebyś szczęśliwą była, mogąc trochę pocierpieć i poboleć kuzynko?—zapytał z uśmiechem Czesław, możebyś nawet sama postawiła jakie przeszkody, aby tylko zadośćuczynić przesądom?

— Niewiem sama — odrzekła w zamyśleniu — jednak sam przyznaj Czesławie — że mamy pewne obowiązki...

— Których też dopełniać będziemy — przerwał Czesław — ja jako gospodarz, ty jako pani domu i kobiecego znowu gospodarstwa.

— Tak, lecz ty naprzykład Czesławie, wszak uczyłeś się medycyny?

— Cóż z tego? — zapytał zdziwiony.

— Lecz nie zostałeś doktorem?

— Nie, ale bo pocóż mi to?

— A gdybyś dopełnił tego, o co inni z tak krwawym potem się starają, gdybyś, zostawszy lekarzem, osiadł na własnej wsi, leczył bezinteresownie, czyżbyś nie przyniósł prawdziwej ulgi cierpiącym, i nie stanął wysoko w opinii wszystkich?

Czesław począł się śmiać głośno i długo, Kazimiera trochę urażona, powstała mówiąc:

— Kuzynku, nic w tem śmiesznego nie widzę...

— Daruj Kazieczko, lecz przypomniał ci się jakiś romans czy Szyllerowska poezya, wymagać koniecznie prób jakichś tylko dla tego, *aby one były*, to trochę nawet śmieszne! — i znów się roześmiał, lecz nagle kuzynkę oblał rumieniec, i rzekła z godnością:

— Otóż wiedz Czesławie, że mam inne w tej mierze zdanie, i że myśl moja przechodzi teraz w postanowienie. Jeżeli mnie kochasz prawdziwie, i jeżeli kochasz kraj i chcesz mu służyć podwójnie skoro możesz, to nie odmówisz mej prośbie zostania lekarzem. Ja czekać będę tego czasu z utęsknieniem, lecz dziś rodziców poproszę, aby ślub nasz aż do tej pory odłożyli. — To rzekłszy powstała i wyszła do drugiego pokoju. Czesław nie mógł przyjść do siebie ze zdziwienia. Nie wiedział czy się śmiać, czy gniewać, zerwał się szybko i pobiegł za kuzynką, prosząc ją, zaklinając i namawiając, aby planu tego niespodziewanego zaniechała, ale nadarmo, pozostała niewzruszoną — chociaż miała łzy w oczach. Czesław teraz dopiero utracając, chociaż na niedługi czas szczęście, którego tak był pewien, pierwszy raz w życiu prawdziwie szaleć począł, teraz również przekonywając się ile ją kocha. Na pół więc z płaczem opowiedział całą rozmowę rodzicom, błagając by jej to wytłómaczyli, gdyż inaczej tego nie przeżyje. Państwo Z. z początku uśmiechnęli się dobrotliwie, a pan Z. nawet rzekł:

— Zuch dziewczyna, widać że nie płytko na ten świat patrzy, ale nie oburzaj się, to przejdzie, może się chciała radykalnie przekonać o twoim sentymencie.

Poszedł przeto do niej, za nim żona, ciotki, babki i kuzynki, wszyscy procesyonalnie perswadując jej, to żartami, to przymówkami, to wreszcie seryo, lecz wszystko napróżno. Kazia albowiem podparłszy sobie główkę ręką, i ocierając łzy rzęsisto spadające chusteczką, stanowczo odpowiadała, że od swego nie odstąpi. Czesław tymczasem w drugim salonie stał jak na torturach, oczekując ze drżeniem serca, także dotychczas nieznanem, swego wyroku. Gdy się we drzwiach ukazał ojciec Kazimiery, rzucił mu się w ramiona, nieśmiąc nawet już pytać, a gdy mu napół smutnie, na pół z uśmiechem pan Z. oświadczył, że wola córki jest niezłomną, aże się zatoczył jak pijany z rozpaczy, i omało co głośnym szlochem nie wybuchnął.

— Patrz ojcze, to tak kobiety kochają, jabym był za nią przysięgał, a ona sobie drwi ze mnie, bo pocóż ja mam się męczyć nauką, kiedy mnie los tak nie postawił, ażebym tego potrzebował, a zresztą mogła się wprzódy z tem wyrazić, nie teraz właśnie w ostatni dzień.

Pan Z. uspokajał i pocieszał jak mógł Czesława — ale ten więcej już nie słuchając wybiegł na miasto. Przyszedłszy do swego mieszkania, rzucił się na krzesło, i począł powoli całą rzecz rozpamiętywać.

— Co być może za powód jej takiej niespodziewanej decyzyi? nie rozumiem,—wczoraj jeszcze ani jej się o tem śniło, a dziś tak koniecznie się przy tem upiera. Nie, to nic nie jest, tylko kobieca chętka postawienia na swojem. Trzeba się silnie oprzeć, bo to początek przyszłego panowania w małżeństwie. Ale mnie dziewczę zmartwiło! ja doktorem! po co? lubo i to prawda żebym się mógł wtedy na co więcej przydać...

Takiemi myślami zaprzątnięty, chodził jeszcze długo pan Czesław po pokoju, aż wreszcie udał się na spoczynek. Ale sen w żaden sposób przyjść mu w pomoc nie chciał. Pomimo że sobie tłómaczył całe to postępowanie narzeczonej jako krótkotrwałe i dziecinne, nie mógł się jednak pozbyć różnych przykrzejszych myśli, których nigdy dotąd nie znał. Nad ranem wreszcie zasnął,—dziwne go sny poczęły trapić. I tak zdawało mu się widzieć nad łożem postać Kazimiery ze skrwawioną piersią, i z groźnym spojrzeniem, to znowu widział ją unoszącą się w powietrzu po nad swoją głową, śliczną i wabiącą go ku sobie, lecz za każdą razą gdy do niej wyciągał ręce, widział znikającą gdzieś w powietrzu.

Jeszcze spoczywał snem rozmarzony, gdy drzwi się otwarły, i wszedł pan Z.

— Jakci się Cesiu spało? zapewnie niezbyt dobrze.

— Oj co nie, to nie kochany ojcze, (tak go już zwykł był nazywać).

— A bo to wasza krew gorąca, pocóżeś tak wczoraj wyleciał jak waryat, możebyśmy byli i pogadali.

— Ależ co tu ojcze gadać, Kazia ze swoją chimerą traktuje mnie jak studenta.

— Nie koniecznie, bo kto wie, czy dziewcze dobrze nie mówi.

— Jakto, więc i ojciec?....

— No, no, nie potom tu przyszedł, tylko po to, żebyś się pocieszył, i dziś nas odwiedził.

— Pocóż kochany ojcze, jeżeli ona mnie niechce?

— A co to za młodzież!... to już ją dla tego i znać nie chcesz? przełamie się to może, ale powoli.

— Powoli, powoli... — zawołał Czesław — ojciec niewie jak to boleśnie, jak się to długo czas wydaje.

— Tem lepiej, poznałeś trochę goryczy — będą słodsze potem chwile.

Na tem się skończyła rozmowa, a Czesław tego dnia jeszcze siedział przy Kazi, wesół jak nigdy, bo zdołał się już inaczej przekonać, i szczęśliwszy, bo małego chociaż doznał zawodu. Kazia wprawdzie jeszcze się bardzo wahała, bo jej trochę i wstyd było tak prędko znów zmienić zdanie, ale gdy jej rodzice obszernie to przełożyli, gdy widziała szczerą boleść Czesława, a głównie, gdy największą jej energią niesłychanie psuło niezwykłe pukanie serduszka, zgodziła się na wszystko i ślubu już dłużej nie odwlekano.

My jednak, którzyśmy całe to zdarzenie od naocznych słyszeli świadków, żałowaliśmy szczerze, że Czesław lekarzem nie został, postawiłoby to bowiem jego w społeczeństwie i moralnie wyżej, i przekonałoby go, że to nie był li tylko kobiecy upór.

Wprawdzie i teraz jak słyszymy, ani jedno, ani drugie nie marnują czasu, ni majątku, pracują godnie i są bardzo szczęśliwi, jednak zawsze nam żal, że panna Kazimiera nie postawiła na swojem, boć przecie pokazałoby się dopiero jasno i okazale, co to wpływ kobiet może; jakie to one cuda poczynić są w stanie! A od łyżeczka do rzemyczka, to jest od drobnostki rozciąga się ich wpływ coraz wyżej i coraz dalej, i tam gdzie mężki rozum i wytrwałość upada, tam one zjawiają się jak potężne wspierające duchy.

Dla tego próby podobne jakie zamierzała panna Kamiera z panem Czesławem wcale są pożyteczne, i są do polecenia, tylko wówczas więcej stałości, więcej energii, chociażby serce pękało, a jesteśmy pewni, że porobią ze swoich narzeczonych nietylko lekarzy, ale i... *najodważniejszych żołnierzy!*

Mógłby tutaj kto zarzucić, że takie cuda tylko narzeczone zdziałać potrafią, — a cóż się z resztą niezaręczonej płci zrobi?— Otóż my na to odpowiadamy, że to przysłowie: „My światem rządzimy, a nami kobiety“ odnosi się do kobiet w każdym stadyum ich życia!

L.

Franciszek Wężyk.

Śmierć po śmierci usuwa nielitościwie coraz więcej z przed oczu naszych, ludzi takich, którzy żywem słowem dawali jeszcze świadectwo tej niedawnej przeszłości naszego kraju, która tak bolesne wypadki na kartach dziejów naszych opowiada. W poczet tych nieodżałowanych strat ojczystych, wliczyć nam dziś wypada Franciszka kasztelana Wężyka, męża stanu i poetę, prezesa Towarzystwa Pzzyjaciół Nauk w Krakowie, i opiekuna budującego się dla nauk przytułku, dźwignięcie którego, również *Jemu* zawdzięcza kraj cały.

Franciszek Wężyk urodził się w r. 1785, z ojca Kazimierza, posła woj. sandomierskiego w Witalinie na Podlasiu. Oddany do szkół publicznych w Białej, Łukowie, Warszawie, dostał się w końcu do Krakowa, gdzie skończył zawód nauk uniwersyteckich za czasów uczonego Jacka Przybylskiego.

W r. 1807 w nowo kreowanem Księstwie Warszawskiem, przyjmuje wyżej wykształcony Wężyk urząd asesora sądu apelacyjnego i sędziego trybunału pierwszej instancyi. Po przyłączeniu do księstwa województwa lubelskiego, sandomierskiego i krakowskiego, oderwanych od Galicyi, na drugi sejm zwołany 1810 obrano go posłem z powiatu bialskiego.

Po r. 1814, czyli od upadku Napoleona, a ustanowieniu kongresowego Królestwa Polskiego, Franciszek Wężyk przeniósł się na stały pobyt do Krakowa. Przez ciąg lat piętnastu pracował wiele w literaturze, i ogłaszał drukiem dawniejsze utwory, co trwało do r. 1830. W tym czasie kasztelan Wężyk pospieszył do Warszawy, i zasiadł w senacie.

Z nieszczęsnym upadkiem powstania wrócił do Krakowa, i tu do ostatnich dni swoich zostawał.

Widzieliśmy po ulicach naszego miasta z powagą i osłabieniem z wieku pochodzącem, przesuwającą się postać, niską, siwą, z wyrazem na twarzy o głębokich uczuciach świadczącym, jak również z uśmiechem niewinnego dowcipu i humoru. Tą postacią był to ś. p. Franciszek Wężyk. Przechodzących koło niego przejmowało szczere uszanowanie i cześć z jaką zbliża się zawsze do pomników drogiej przeszłości naszej. Franciszek Wężyk był też niezawodnie takim pomnikiem żyjącym, działał on bowiem w polityce — tworzył w poezyi. A lubo jego dzieła poetyczne dziś już potrzebom naszym nieodpowiadają, to jednak jako właściwość przechodowej epoki z klasycyzmu w nowszy zwrot literatury, wyrobiły one swemu twórcy zaszczytne stanowisko.

Dzieła Franciszka Wężyka są: 1) *Rzym oswobodzony*, scena historyczna w 3ch aktach; 2) *Okolice Krakowa*, poemat 1820; 3) *Gliński*, tragedya 1822; 4) *Bolesław śmiały*, 1822; 5) *Wanda* 1826; 6) *Władysław Łokietek*, 1828; 7) *Zygmunt z Szamotuł* 1830; 8) *Bezkrólewie*, znane z wyjątków tylko i 9) *I ja też, czyli Rzeczpospolita Babińska*, wierszowana komedya 1860.

Największą chwałę zyskały mu ody pisane pod wpływem zwycięztw napoleońskich. O nich też Adam Mickiewicz zaszczytnie wspomina w swych odczytach, chociaż ten wieszcz wcale nie był hojnym w przyznawaniu natchnień Wężykowi.

Zasługa Franciszka Wężyka, co do gorliwości w dźwiganiu domu dla Towarzystwa Naukowego krakowskiego, tak jest powszechnie w kraju znaną i cenioną, że zbytecznie by tu było nad nią się rozwodzić. Zestawiliśmy tu kilka słów o nim — bo wart był tego— kończąc, cześć Jego popiołom oddajemy.

Koncert.

Pan Jelski, który już dał się nam poznać z swego talentu podczas teatrów amatorskich technicznych, dawał przed dwoma tygodniami w sali hotelu saskiego koncert na skrzypcach, w którym wzięli udział: JMć pani P... śpiewaczka, oraz panowie Duleba fortepianista i Odrzywolski gitarzysta. Koncert ten wprawdzie nie bardzo rozmaicie ułożony, odznaczył się pięknem wykonaniem trudnych utworów na skrzypce przez p. Jelskiego, i wyborną grą znanego już w Krakowie amatora artysty p. Dulęby. Śpiew szanownej amatorki zachwycił publiczność, która śpiewaczkę z wielkim pożegnała entuzyazmem. Koncert ten jednakże tem większego nabył w sercach naszych szacunku, że dochód z niego pan Jelski przeznaczył w całości na wspomożenie niedawno osierociałych, ubogich a chciwych nauki młodzieńców. W ich też imieniu składamy niniejszem serdeczne szanownemu koncertantowi podziękowanie.

Korespondencya od Redakcyi.

Panu D. we Lwowie. Artykuł p. t.: P.B. jest dla naszego pisma pożądanym. Idzie o to, aby stanowił pewną całość, i aby się zawarł w koniecznych dla *Niewiasty* granicach.

K. J. Turowski. Redaktor odpowiedzialny. —Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.